

Paczka z Domu Dziecka

Autor: Bogumił Zając

Cześć, mam na imię Antek. Mam już dziesięć lat, a moją jedyną rodziną są inne dzieci z Domu Dziecka. Mamy i taty nie pamiętam. O sobie mogę powiedzieć tyle, że nazywają mnie „żywe srebro”, co niby ma znaczyć, że jak się coś dzieje, to ja nigdy nie usiedzę na miejscu. Ale koledzy mówią na mnie Toni. Historia, którą teraz opowiem, wydarzyła się naprawdę, choć pewnie trudno wam będzie w to uwierzyć. Ale zanim to zrobię, przedstawię najpierw moich przyjaciół, którzy przeżyli ją razem ze mną.

Najpierw parę słów o Profesorze; tak naprawdę ma on na imię Franek i też ma dziesięć lat. Jest najmądrzejszy w całym Bidulu i bardzo dużo czyta. Pewnego razu, gdy graliśmy w piłkę, Franek tak niefortunnie ją kopnął, że zamiast wpaść do bramki, wylądowała na twarzy siedzącego na ławce Jacka. Jacek miał wtedy piętnaście lat i był najsilniejszym chłopakiem w naszej „rodzinie”. Zerwał się mocno zdenerwowany i chciał od razu wymierzyć sprawiedliwość, lecz zastłoniliśmy Franka całą drużyną. Jacek wykrzykiwał, że jak go dorwie, to mu wszystkie sto kości połamie. Wtedy Franek, zapominając o strachu, odrzyknął, że człowiek ma dwieście sześć kości, chociaż nie wszyscy, bo czasami niektóre zrastają się w jedną. Jacek wtedy krzyknął:

– Te, Profesor, jak ja cię kopnę w miejsce, gdzie plecy tracą swoją szlachetną nazwę, to twoja kość ogonowa będzie miała dwieście sześć kawałków!

Od tej pory Franek na stałe został ochrzczony Profesorem.

Trzecim z naszej paczki jest Mateusz, zwany Pele. Jego pasją jest sport, codziennie poświęca przynajmniej godzinę na trening, dzięki czemu, pomimo swoich jedenastu lat, „na rękę” kładzie starszych od siebie, a na „setkę” pobił rekord Bidula. Najbardziej jednak kocha piłkę nożną, stąd jego przydomek.

No i jeszcze muszę wspomnieć o Romku. To prawdziwy oryginał – podobno jego mózg nie wytwarza czegoś tam, jakiegoś hormonu czy czegoś takiego, który mówi, że człowiek jest najedzony. Biedny Romek mógłby więc jeść cały czas, bo jego mózg nie wie, że już jest syty. Mamy zakaz „dokarmiania” Romka, ale on i tak zawsze znajdzie coś do przegryzienia. Łatwo więc sobie wyobrazić, jak wygląda i dlaczego mówimy na niego Pączek. Ale to bardzo sympatyczny i uczynny kumpel, możecie mi uwierzyć.

Tak wygląda nasza czwórka, nasza paczka z Domu Dziecka.

Nasz Bidul jest ogrodzony metalową siatką z czterech stron; to taki stary, pokraczny budynek, poniemiecki, jak mówi pani Ania, będący w dawnych czasach Urzędem Pocztowym. Podczas niedawnej wichury, w czasie której nasze opiekunki co chwilę mówiły „koniec świata” i żegnały się ze strachem, stary jesion, w pobliżu południowego końca ogrodu, z olbrzymim trzaskiem runął na nie, miażdżąc dwa przęsła. Kiedy strażacy usunęli drzewo, nasz konserwator, pan Mirek, zwany Wąsaczem, od bujnych, podkręcanych czarnych wąsów, postawił prowizoryczny płot. Fundusze na Dom Dziecka nie są duże, a i Wąsacz nie należał do mistrzów w swoim fachu, więc szybko odkryliśmy, że można obluźować jedną z desek i przecisnąć się na zewnątrz. Od tej pory robiliśmy krótkie eskapady, bez wiedzy opiekunek.

W czasie jednej z takich wycieczek, zawędrowaliśmy nad rzekę, gdzie stała stara, opuszczona chałupa, zwana Domem Strachów. Podobno przez lata zaginęło w tej okolicy wiele dzieci, po których nie zostały żadne ślady. Dorośli chcieli ponoć rozebrać rudery, ale teren ten prawnie należał do kogoś mieszkającego za granicą, więc bez jego zgody mieli związane ręce i Dom Strachów stoi do dziś. To taka lokalna legenda, jednak dzieciom zabrania się tu przychodzić. Ale wiadomo, to tylko podsycia ciekawość.

Już czwarty raz urwaliśmy się, aby tu przyjść, jednak do tej pory nie spenetrowaliśmy wnętrza rudery. Każdy z nas udawał odważnego, ale jednak baliśmy się tego, co może nas spotkać w

środku.

I gdyby nie antytalent Profesora do piłki nożnej, pewnie cała historia nie miałaby miejsca. Bo to właśnie Franek w swoim stylu skiksował i posłał piłkę prosto w dziurę po wybitej szybie okiennej. Teraz jego prestiż zawisł na włosku – jeśli nie pójdzie po piłkę, straci szacunek grupy. Cały błąd, wahając się przez chwilę, zdecydował jednak, że nie stać go na tchórzostwo i odchylając częściowo zjedzoną przez korniki okiennicę, wskoczył do środka.

Czekaliśmy minutę, dwie... i nic. Po pięciu minutach, kiedy na nasze wołania Profesor nie dawał żadnego odzewu, postanowiliśmy wspólnie wejść do Domu Strachów, żeby ratować kolegę. Nasza przyjaźń była silniejsza niż strach przed nieznanym.

Wewnątrz było strasznie... brudno. Pele od razu zaczął kichać, jednak nikt nie pojawił się, pomimo głośnych odgłosów wrażliwego nosa. Podłoga i meble pokryte były grubą warstwą kurzu, wręcz szarym dywanem brudu, a zwisające wszędzie olbrzymie pajęczyny tworzyły nastrój grozy. Przy dwóch ścianach stały olbrzymie, sięgające sufitu regały, wypełnione książkami, oczywiście również pokrytymi zalegającym kurzem.

W rogu znajdowała się nasza piłka, jednak po Profesorze ani śladu. Chociaż nie, źle się wyraziłem – na brudnej podłodze wyraźnie widać było odciski małych adidasów, kierujących się ku starym drzwiom. Tędy musiał przed chwilą przejść zaginiony Franek. Sądząc po tropie, był sam, nikt go nie porwał. To dodało nam animuszu.

– Pewnie cwaniak chciał nam zrobić kawał i zaraz z krzykiem wyskoczy z za drzwi, żeby nas nastraszyć – oceniłem.

– Ooo, niedoczekanie jego – dołączył się już odważniej Pele, przestając kichać.

– No to na co czekamy? – zapytał Pączek – idziemy za nim.

– Już ja go nastraszę... – dodałem zagniewany na siebie, że bałem się tu wejść. – Jeszcze pożałuje.

– Wchodźcie – powiedział Pele, otwierając drzwi.

Naszym oczom ukazał się kolejny pokój, z wielkim łóżkiem, zapewne sypialnia. Pierwszy próg przekroczył Pączek, ja tuż za nim, a pochód kończył Pele. Ledwo znaleźliśmy się za progiem, drzwi zatrzasnęły się z hukiem, rozległ się głośny, szyderczy śmiech i cała okolica momentalnie zmieniła się w olbrzymią łaskę.

– Jeee...steś...cie! – wykrzyknął zapłakany Profesor, siedzący na trawie. – Już myślałem, że zostanę tu sam.

Zostaliśmy jednak razem, całą czwórką. Pytanie tylko, gdzie zostaliśmy, do jasnej cholewki?

Po godzinie, a może minęło zaledwie pięć minut, trudno powiedzieć, czas płynął nam powoli i popadaliśmy w coraz większy niepokój, nadal tkwieliśmy w tym samym miejscu. Siedzieliśmy we czwórkę na trawie, nie potrafiąc podjąć żadnego rozumnego działania. Trzeba to było przerwać.

– Chłopaki, koniec mazgajstwa! – krzyknąłem, wstając – Jesteśmy mężczyznami, czy nie?

– No, ta... – odpowiedzieli niemrawo.

– Widzicie ten zamek w oddali? – wskazałem na daleki kształt.

– I co z tego? – zapytał Pączek. – To strasznie daleko, a ja jestem zmęczony i głodny.

– Ty zawsze jesteś głodny – dogryzł mu Pele.

– A ty szybko biegasz, to skocz po coś do zjedzenia – odciął się grubaśny Romek.

– Co proponujesz? – zapytał Franek.

– Musimy coś zrobić, cokolwiek. – Starłem się pobudzić ich do działania, wyjaśnić, co się stało i znaleźć drogę powrotną. – A co możemy zrobić? Znaleźć kogoś, kto nam trochę rozjaśni w głowach, więc zamiast siedzieć i biadolić jak dziewczyny, chodźmy tam, gdzie kogoś znajdziemy. Ja widzę tylko jedno takie miejsce. – Wskazałem palcem w stronę zamku.

Poskutkowało. Profesor, Pączek i Pele wstali i całą grupą ruszyliśmy w drogę.

– Jestem głodny – co chwilę marudził Pączek.

Wyrzebaliśmy z kieszeni całe zapasy – były tego dwie gumy do żucia, dropsy i jeden cukierek. Trudno to było podzielić, ale większą część oddaliśmy zgodnie Pączkowi.

<http://www.cowbajkachpiszczy.pl/>

Po pewnym czasie dotarliśmy na szczyt urwiska, u stóp którego płynął rwący potok, a jakieś dwadzieścia metrów nad nim znajdował się most sznurowy. Niestety, drogę zagradzał wysoki, może szesnastoletni chłopiec.

– Nie ma przejścia! – wykrzyknął, a jego oczy świeciły na bursztynowożółty kolor.

– A kim ty jesteś? – zapytałem, jako najbardziej wygadany.

– Rycerzem króla Jantara – odparł. – I Strażnikiem Pierwszej Próby.

– Pierwszej Próby? – zainteresowaliśmy się.

– Tak, każdy kto trafia do królestwa Jantara, musi przejść przez trzy próby, zanim dotrze do zamku. Wy również, a macie na to czas do zmierzchu, inaczej również staniecie się rycerzami króla. Do tej pory nikomu się ta sztuka nie udała i nie ma tu nikogo, oprócz nas, rycerzy i samego króla Jantara. To wszystko, co mogę wam powiedzieć.

– A na czym polega ta próba?

– To próba zwana Pożarciem. Mam tutaj dwa worki jedzenia, jeden z was musi usiąść ze mną i zmierzyć się w jedzeniu. Ten kto pierwszy będzie miał dość, przegrywa. Kogo wybieracie do próby?

Nie musieliśmy się namyślać, Romek, zwabiony zapachami, już grzebał w worku.

– Zaczynamy! – dodał niecierpliwie, a oczy błyszczały mu równie mocno jak strażnikowi.

I wtedy zaczęła się prawdziwa wyżerka. Po zjedzeniu czterech bułek, sześciu naleśników, dwóch kroketów i zupy ogórkowej z litrowego słoja, rycerz czknął lekko i zapytał:

– Masz już dość? Bo dla mnie to była dopiero przekąska – dodał, mlaskając.

– Przy jedzeniu się nie gada – odparował Pączek, zatapiając zęby w hamburgerze.

I tak siedzieli jeszcze długo, starszy i większy Strażnik Pierwszej Próby i sporo mniejszy, lecz dużo krągłszy, Romek. Teraz naprawdę przypominał pączek.

– Hmm... – szepnął Franek – też bym coś zjadł, ale te dwa odkurzacze gotowe nic nam nie zostawić.

Po drugim danu, nastąpiło drugie drugie danie, potem trzecie, a gdzieś w okolicach piątego rycerz odstawił udko od ust i wystękał:

– Nie.. masz...ju... ju... już.... dość?

– Przecież jeszcze pół worka zostało – odpowiedział Romek, nie przestając jeść.

– Ja tylko na chwilę was przeproszę – odrzekł konkurent, po czym z trudem wstał, zrobił się najpierw blady, potem zielony, a później zobaczyliśmy to co zjadł przed chwilą, w wersji przetrawionej. Jednym słowem zwymiotował obficie pod znajdujący się w pobliżu krzak, przetoczył się na bok i machając ręką w stronę mostu, wyszeptał z trudem:

– I..idźcie... już... Wygraliś... cie.

Ruszyliśmy zatem w drogę, zabierając ze sobą worek z jedzeniem. Tylko Romek był niepoczyszony.

– Przecież jeszcze nie skończyłem. A deser? Deser musi być.

Nie słuchaliśmy go jednak, czas naglił, jeszcze dwie próby przed nami, a do wieczora zostawało coraz mniej czasu.

Nie uszliśmy daleko od mostu, a drogę zagroził nam wielki, czterometrowy mur.

– Tutaj jestem! – zawołał ktoś.

Skierowaliśmy się w stronę głosu i w ten sposób natrafiliśmy na kolejnego chłopca, strzegącego tym razem bramy.

– Jestem Strażnikiem Drugiej Próby – rzekł bez ceregieli. – Polega ona na tym, że musicie przejść przez labirynt, innej drogi nie ma. Musicie mi jednak oddać wszystkie przedmioty, którymi można pisać oraz wszelakie sznurki, nici i tym podobne rzeczy.

Pogrzebaliśmy trochę po kieszeniach i okazało się, że całkiem sporo się tego uzbierało.

Zostawiliśmy wszystko na kupce, a Strażnik jeszcze nas dokładnie obszukał i w kieszeni kurtki Franka znalazł kawałek kredy.

– Aha! – wykrzyknął – to też musi zostać. Nie wolno wam w żaden sposób zaznaczyć drogi, a teraz ruszajcie, jeżeli do wieczora nie wyjdziecie z labiryntu, przyjdę po was, nie martwcie się.

<http://www.cowbajkachpiszczy.pl/>

Ruszyliśmy, ale wysoki mur stanowił barierę, która uniemożliwiała rozeznanie się w okolicy.

– I co teraz? – zapytałem. – Przecież może nam to zająć godziny, a nie mamy tyle czasu.

– Ja szybko biegam – wtrącił się Pele. – Postaram się jako pierwszy zbadać teren.

– Może by tak spróbować wspiąć się na mur, żeby coś zobaczyć? – podrzucił swój pomysł Pączek.

Tylko Profesor się nie odzywał, szukając czegoś na ziemi.

– Mam! – krzyknął, podnosząc z ziemi grubą gałązkę. – A teraz posłuchajcie. Czytałem w jednej książce, że z każdego labiryntu można wyjść, jeżeli cały czas trzyma się prawej strony. Zajmuje to sporo czasu, jeżeli labirynt jest duży, ale to pewny sposób na wyjście. Gdybyśmy mieli mapę, poradzilibyśmy sobie szybciej, ale błędzenie na oślep niekoniecznie pozwoli nam się stąd wydostać. Będziemy biec tak, aby nie stracić kontaktu ze ścianą po prawej stronie. Uwierzcie mi, wyjdziemy stąd, tylko mnie posłuchajcie.

– Wierzę ci, Profesor. – Klepnąłem go w łopatkę.

– Ja też – dodał Pączek

– I ja ci ufam – zakończył Pele. – A teraz szorujemy, bo czas leci, a my pytlujemy jak stare baby.

Ruszyliśmy bez słowa, patyk, który trzymałem w dłoni chrobotał po murze, a my co rusz skręcaliśmy w prawo i w prawo, każdy zakręt to kolejny zwrot w prawo. Okolice była tak monotonna, że wydawało się nam, iż wędrujemy w kółko i już tu byliśmy, ale skoro Profesor był pewien swojego, nie podważaliśmy jego wiedzy. I to się opłaciło. Po dłuższej wędrowce i dwóch krótkich chwilach odpoczynku, aby nasz zadyszany grubasek bez kondycji, mógł nabrać sił i coś przekąsić, trafiliśmy do wyjścia. Trzykrotnym gromkim: Hura! obwieściliśmy okolice nasze zwycięstwo.

Pozostała jeszcze jedna próba, a słońce schodziło coraz niżej, ruszyliśmy więc niezwłocznie w dalszą drogę.

Po kilku minutach wędrowki spotkaliśmy trzeciego strażnika; o ile drugi wyglądał na jakieś osiemnaście lat, ten miał ze trzydzieści.

– No, no, no! – tubalnie zawołał na nasz widok. – Dopiero drugi raz ktoś dotarł do mojego etapu, a takie z was knypki – dodał z kpiną, ale i z odrobiną szacunku.

– Teraz czeka was próba zręczności. Musicie tylko zdobyć bursztyn ukryty w dziupli tamtego drzewa. – Wskazał wysoki dąb w oddali.

– A na czym polega podstęp? – zapytałem, czując, że to nie wszystko.

– Jedno małe ale... takie maciupęńkie – zaśmiał się złośliwie, patrząc na nas z góry. – Żeby się tam dostać, musicie, a w zasadzie jeden z was, dobiec do jeziora, następnie przepłynąć na wyspę, na której rośnie ten dąb i wspiąć się do dziupli.

– Ja to zrobię – zgłosił się na ochotnika Pele, z błyszczącymi oczami.

– Jeszcze nie skończyłem – dodał strażnik. – Musisz to zrobić przede mną. Start! – krzyknął nagle i ruszył, aż się zakurzyło.

Pele tylko chwilę pozostał w bezruchu, zaskoczony, ale już w kolejnej, biegł co sił za starszym konkurentem.

–Pele! Pele! – kibicowaliśmy mu, biegnąc za nimi; ja na przedzie naszej trójki, tuż za mną Franek, a na końcu krótkimi kroczkami posuwał się Romek.

Do jeziora dopadli równocześnie, a gdy my znaleźliśmy się na brzegu, strażnik i Pele kraulem zwinnie pokonywali już połowę odległości, dzielącą ich od wyspy. Niestety, Pele na ostatnim odcinku stracił nieco i kiedy ociekający wodą dopadł do olbrzymiego pnia, Strażnik Trzeciej Próby, już pokonywał pierwsze metry w górę.

Wtedy Pele odwrócił się, zobaczył naszą trójkę powoli wychodzącą z wody i jakby wstąpiły w niego nowe siły. Wiedział, że ma nasze wsparcie, a nasza przyszłość leży teraz w jego rękach. I w nogach.

Jego zwinność, giętkość i szybkość znaleźliśmy, ale to co zaczął wyczyniać, przeszło nasze najśmielsze wyobrażenia. Kiedy już wdrapał się na pierwszą gałąź, wręcz skakał na kolejną i zręcznie podciągał się, aby za chwilę powtórzyć czynność na wyższym poziomie.

<http://www.cowbajkachpiszczy.pl/>

– Ty, czy to jeszcze Pele – wyraził nasz podziw Profesor – czy to jakaś wielka wiewiórka. Cały czas wykrzykując jego przydomek, dopingowaliśmy z dołu poczynania Franka, a on, nie dość, że zrównał się ze strażnikiem, to po krótkiej chwili rycerz króla Jantara musiał oglądać spodnie Pelego, migające mu wśród korony dębu u góry.

– Mam! – wykrzyknął w pewnym momencie z tryumfem Pele. – Mam! Mam bursztyn! Wygraliśmy! Chyba nie tylko ja zauważyłem, że nie powiedział „wygrałem”, ale „wygraliśmy”. My, nasza drużyna, nasza paczka. Gdyby nie koledzy, chyba bym nie powstrzymał łez ze wzruszenia, ale sami wiecie, nie wypadają, chłopaki nie płaczą.

Kiedy już cała nasza czwórka i strażnik znalazła się w cieniu rozłożystego, starego dębu, zapytałem:

– I co teraz? Przeszliśmy wszystkie próby pomyślnie.

– Teraz – wysapał zdyszany – musicie podejść do bramy zamku i wrzucić do otworu w środku ten bursztyn, który znajdował się w dziupli.

– A co dalej? – drążyłem, nie dając mu chwili wytchnienia.

– Dalej spotkacie innych strażników, którzy zaprowadzą was przed oblicze Jego Wysokości, króla Jantara.

– Ruszajmy więc – zakomenderowałem, ale widząc spoconego i całego czerwonego Pelego, równie czerwonego Pączka, zarządziłem chwilę odpoczynku. Należało im się, tylko ja i Profesor trzymaliśmy się jakoś.

– Pora coś zjeść – wykrztusił Romek – nie jadłem już z godzinę.

– Oj, Romek, ty i głodny – zachichotał Franek – trudno uwierzyć.

Zawtórowaliśmy śmiechem, gdyż nagromadzone emocje nagle z nas opadły, śmiał się nawet Pączek.

Po krótkiej chwili odpoczynku i posiłku, poszliśmy w stronę zamku.

Franek wyciągnął z kieszeni bursztyn. Przed nami wielka brama, również zbudowana z bursztynu, mieniła się w słońcu, aż musieliśmy mrużyć oczy. W środku znajdował się niewielki otwór, do którego Pele wrzucił niedawno zdobyty jantar. Bo również taką nazwę nosi bursztyn. Po chwili skrzydła bramy rozwarły się, a naszym oczom ukazał się olbrzymi dziedziniec i wspaniały zamek. Aż zaniemówiliśmy z wrażenia – wszystko dookoła zbudowane było z bursztynu, od kamieni w bruku, po każdą cegielkę w murach zamku. Piękny widok, istnie baśniowy, aż coś się w sercu raduje.

Tę chwilę przerwali nam kolejni strażnicy o bursztynowych oczach. Większość z nich to byli dorośli ludzie, w tym jedna dziewczyna i tylko jeden chłopiec w naszym wieku. Naliczyłem wszystkich siedemnaście osób. Patrzyli na nas ze zdziwieniem, a jeden z nich podszedł bliżej i rzekł:

– Chodźcie, jesteście pierwszymi, którzy przeszli drogę Trzech Prób. W nagrodę będziecie mogli stawić się przed obliczem Jego Królewskiej Mości, króla Jantara.

Cała nasza czwórka zdumiała się na widok króla; wyobrażaliśmy sobie wysokiego, potężnie zbudowanego mężczyznę, a na tronie siedział zgrzybiały staruszek, z siwymi, przerzedzonymi włosami. Jego skóra pokryta była licznymi zmarszczkami i brązowymi plamami. Podziw wzbudzał za to cały zamek – od posadzki, przez ściany, aż po sufit z bursztynu. Nawet królewski tron lśnił w promieniach słońca pięknym bursztynowym odcieniem.

– Witajcie – podniósł się staruszek – nawet nie wiecie, jak się cieszę, że przeszliście zwycięsko Trzy Próby. Nikt przed wami tego nie dokonał. Przełamaliście czar, który niegdyś rzuciłem, niestety nie umiałem go odwrócić. Dopiero śmiałek, który przejdzie w ciągu jednego dnia całą drogę do zamku, złamie potęgę zaklęcia. I oto wam się udało. Dzięki temu będziecie mogli wrócić do swojego świata.

– Wasza Wysokość – zacząłem – chyba powinniśmy wracać jak najszybciej, bo już zapada zmierzch. A pani Ania jest bardzo wyczulona w tej kwestii. Często powtarza, że przez trzydzieści

<http://www.cowbajkachpiszczy.pl/>

lat jej pracy nikt jeszcze z nie uciekł z Domu Dziecka, zdarzyło się to tylko raz w całej historii sierocińca. A ona nie pozwoli, żeby się powtórzyło. A bywa sroga, oj, bywa. – Pozostali chłopcy przytaknęli głowami ze zrozumieniem. – Dlatego musimy wrócić na wieczorną zbiórkę, proszę się nie obrażać, Wasza Wysokość, królu Jantarze.

– To zapewne ja... je...stem tym...tym... chłopcem, który uciekł i nie wrócił – zaczął się jąkać król. – Ale.. było... to już... już... już z pięć...dziesiąt... lat temu.

Władca zaczerwienił się, ale żaden z chłopców nie roześmiał się.

– Nie śmieje...cie się ze mnie? – zapytał zdziwiony.

– Królu – dodałem, jako najbardziej wygadany z całej czwórki. – Każdy ma jakieś wady, Pączek cały czas by jadł i jest gruby, Pele ma trudności w czytaniu i liczeniu, Profesor porządnie piłki kopnąć nie umie i nawet dziewczyny kładą go na rękę, a ja często o czymś zapominam i nie należę do punktualnych. Nie przeszkadza nam to, żeby być przyjaciółmi, bo jesteśmy paczką, i każdy drugiemu pomaga. Gdyby nie oni nigdy nie przeszlibyśmy przez Trzy Próby, Pączek i jego obżarstwo, mądrość Profesora i zwinność Pelego pozwoliły nam osiągnąć sukces. Tylko wspólne działanie dało efekt. No, ja okazałem się nieprzydatny.

Wtedy koledzy jak jeden mąż, zaprzeczyli, przekrzykując się, że to ja zamiast siedzieć na łące i marudzić, kazałem ruszać w drogę, to ja ich pobudzałem do działania. I to ja odważyłem się przemawiać do króla.

– Usiądźcie zatem – przerwał nasze krzyki król. O dziwo, nie jąkał się już. – Nie musicie się martwić o panią Anię. Wróćcie w tym samym momencie, w którym tu przybyliście, tu czas dla zewnętrznego świata się zatrzymał. A ja opowiem wam o sobie.

– Otóż – dodał, kiedy razem z odczarowanymi „rycerzami”, a było ich dwudziestu, w tym jedna dziewczyna, usiedliśmy na bursztynowej posadzce – gdy byłem w waszym wieku, wszyscy śmiali się z mojego jąkania. Nie miałem przyjaciół, ale też nie próbowałem ich znaleźć. Pewnego dnia, w czasie jednej z eskapad z sierocińca, znalazłem nad rzeką stary dom, a w nim wiele ciekawych książek. Jedna z nich zawierała tajemnicze zaklęcia. Po wielu miesiącach prób, wykorzystując magiczne działanie bursztynu, udało mi się otworzyć przejście do nowego, wymyślonego przeze mnie świata. Portal ten stanowią drzwi, między salonem a sypialnią, ale przejść przez niego mogą tylko dzieci. Dorośli trafią do sypialni i niczego nie znajdą.

Gdy stworzyłem ten zamek z bursztynu, poczułem władzę i kielkowała we mnie chęć zemsty za wyśmiewanie się ze mnie. Kiedy przybyły tu pierwsze dzieci, uczyniłem z nich swoich poddanych, posłusznych mojej woli, dzięki mocy bursztynu. Jednak było mi mało, wymyśliłem więc drogę Trzech Prób, którą znacie. Niestety, nie umiałem cofnąć rzuconego czaru, więc ktoś musiał to zrobić za mnie. Przez długie lata przybywały tu z rzadka inne dzieci, teraz już wiele z nich to dorośli ludzie, siedzący tu z wami. Moja nienawiść minęła, pozostała samotność. Cóż z tego, że miałem ślepo posłusznych poddanych, skoro nie miałem żadnego przyjaciela. Cóż z tego, że nikt się ze mnie nie śmiał, jeśli ja nie miałem z kim się śmiać. Żałuję tego, co zrobiłem.

– No, to tyle – zakończył król Jantar. – Teraz otworzę portal i każdy kto zechce, wróci do domu.

Ja zniszczę przejście na zawsze. Zostanę tu sam.

– Królu – zaoponowałem – wróć z nami, zostaniemy twoimi przyjaciółmi, nawet jak się będziesz jąkał – dodałem bez zastanowienia.

Jego Wysokość Jantar rzekł spokojnie, a w kąciku jego oczu zalśniły łzy:

– Naprawdę chcecie zostać moimi przyjaciółmi?

– Taaaak! – wykrzyknęliśmy gromko.

– Wiecie co, muszą to przemyśleć – a wy odpocznijcie, prześpijcie się, jutro podejmę decyzję.

– Aha – dodał po chwili – czy jest coś, czego byście sobie życzyli w nagrodę za złamanie złego czaru?

Zamilkliśmy na chwilę i wtedy odezwał się Pączek:

– Czy możemy dostać coś do zjedzenia?...

Król roześmiał się głośno i szczerze, a całe zgromadzenie razem z nim. Czasami łatwo przełamać bariery, nawet jeśli ktoś jest królem. Wystarczy odrobina szczerości i uśmiechu.

Następnego ranka zebraliśmy się w liczbie dwudziestu czterech osób, w tym jedna dziewczyna, a potem dołączył do nas król.

– Zdecydowałem się powrócić z wami – rzekł poważnym tonem – na cóż bogactwa, władza, jeśli nie ma się nikogo bliskiego. Ja nie mam rodziny, ale chętnie znajdę ją w was – zwrócił się ku naszej paczce. – Pozostali wrócą do swoich czasów, ale będą mieć tyle lat, ile mieli, gdy tu trafili. Ja niestety znajdę się w waszych czasach, inaczej nie będę mógł zamknąć portalu.

Król Jantar wypowiedział parę magicznych zaklęć, trzymając wielki bursztyn we wzniesionej prawej ręce i oto ujrzeliśmy drzwi na środku pałacowego holu. Kiedy władca otworzył je, kolejno przekroczyliśmy próg i znaleźliśmy się na powrót w Domu Strachów, w pokoju z regałami.

I nagle stała się rzecz niesamowita. Razem z nami znalazł się jeszcze jeden chłopak. Rudy, piegowaty, mniej więcej dziesięcioletni.

– Kim jesteś? – zapytał Pele.

Zanim obcy zdążył odpowiedzieć, odezwał się Profesor:

– To przecież król Jantar. No, może już nie król – klepnął go po plecach.

– Tak, to ja. Ale mam na imię Maciek – wyciągnął do nas dłoń, a my po kolei ściskaliśmy ją, przedstawiając się.

Maciek wypowiedział jeszcze parę razy jakieś „hokus–pokus” i zniknął na zawsze portal do bursztynowego świata.

– Co teraz ze mną będzie - zmartwił się niedawny król.

– Jak to co – powiedziałem – nie masz mamy ani taty, jak my. Ale należysz do naszej paczki, więc zabierasz się z nami. Pani Ania jest surowa, ale na pewno cię przyjmie. A jeśli będziesz się jąkał i ktoś się zaśmieje, to pamiętaj, masz nas. A na przyjaciół zawsze możesz liczyć.

I to już koniec mojej opowieści, nie chcecie wierzyć, to nie wiercie. Ale powiem wam jedno, Paczka z Domu Dziecka trzyma się dobrze. A tworzę ją ja, Pele, Profesor, Pączek i Maciek. Ale nazywamy go Jantar. Teraz wiecie dlaczego.